Dodatek nadzwyczajny do „Wielkopolanina".

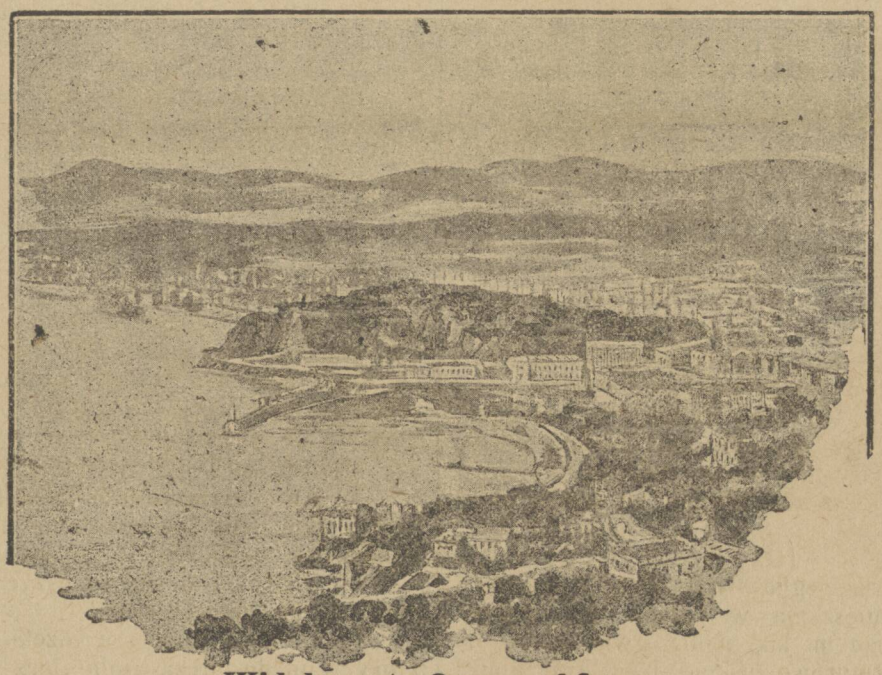
OGNISKO DOMOWE.

Nr. 8. | Ognisko wychodzi raz w tydzień. Cena pojedyńczego Nru. 5 fen. | Poznań, dnia 14 Lutego. | Abonenci Wielkopolanina otrzymują pismo to bezpłatnie. | 1897.

Sen biednych.

(Bajka).

Ona nuciła pieśni, których od ptasząt się wyuczyła, lecz śpiewała piękniej niż one; on grał na baskijskim tamburynie jak cygan. Lecz żaden cygan tak lekko i z taką fantazyą nie trącał w błonę bębenka; i tak wędrowali z pieśnią na ustach przy dźwiękach tamburynu przez wszystkie kraje. Skąd byli? Na to sami nie byliby umieli odpowiedzieć. Przypominali sobie tylko, że nie zaznali spoczynku w łóżku, ani też nie jedli przy stole. Tych, którzy mieszkali w domach lub na obrusie jadali nie zaliczali do swej rodziny; nie mieli zresztą rodziny. W najpierwszem życia zaraniu — gdy byli jeszcze w latach, w których ledwo mówić poczęli, spotkali się na trakcie; on wypełzał z krzaków, ona wydźwigła się z rowu, gdzie ich wyrodne matki były zostawiły — i natychmiast z uśmiechem na ustach podali sobie rączyny. Padało nieco tego dnia; lecz w dali przez wyłom chmur przebijał się złocisty słońca promień; szli ku słońcu i od chwili tej ich droga prowadziła tam, gdzie było pięknie. Byłyby te dzieci zmarniały z głodu i pragnienia, gdyby im litościwe kobiety wiosek, przez które dzieci przechodziły, nie podrzuciły kromki chleba, która już za twardą była dla kur. Smutno było patrzeć na parkę tych wybladłych, biednych dzieci, które szły z miejsca na miejsce jałmużną żyjąc. Lecz pewnego poranku, gdy już byli podrośli, zdumieli wielce, gdy budząc się pod cieniem drzewa uczuli potrzebę pocałunku. Wydawało im się to pięknem i rozkosznem, więc sen snuli dalej na jawie. Odtąd zgryzot im nędza ich nie sprawiała; nędza była im obojętną, ponieważ byli szczęśliwi. Nie ma biedy, gdy miłość pozwoli o niej zapomnieć. Chociaż zaledwo łachmanem byli okryci, przez które i słońce dopiekało i deszcz je ziębił, nie zazdrościli ludziom, którzy latem w lekkiej chodzili szacie, zimą futrami się okrywali; nawet łachman w strzępach nie razi, jeżeli w tym łachmanie temu podoba, którego się kocha; a nie jedna dama wysokiego rodu zamieniłaby swoje kosztowne szaty na krasne lico biednej dziewczyny.



Widok portu Oran w Afryce.

Tak szli dzień po dniu, od sioła do sioła, przed domami pokaźnemi zatrzymywali się lub przed gospodami, w których chłopi wesoło hulali, a często się i okno otworzyło. Ona śpiewała swoje melodye, on bębnił na baskijskim tamburynie; a jeżeli im dano kilka groszy, często to się zdarzało, bo widok ich chwytał za serca — byli zadowoleni; lecz nie smucili się też, gdy im nic nie dano. Kładli się wtenczas głodni do snu.

Nie wiele znaczy ułożyć się do snu z próżnym żołądkiem, gdy serce przepełnione, a nie potrzeba zawsze nad głodnymi się litować, jeżeli mu głód wynagrodzi przywiązanie.

II.

Dnia pewnego było im jednakże bardzo smutno. Mróz był trzaskający, od trzech dni nie byli dostali jałmużny, a sił im zostało właśnie tyle, aby wzajemnie się wspierać. Padając prawie ze znużenia schronili się do otwartej stodoły, do której wpadał wiatr ze wszech stron. Szczękali zębami od zimna a nawet przy całej wytrwałości przypominali sobie, że nie jedli nic.

Biedacy! A z troską obecną łączył się niepokój o jutro. Cóż mieli począć, co się z nimi stanie, jeżeli litościwa dusza się nimi nie zaopiekuje. Czyż mieli już umierać tak młodo, od wszystkich opuszczeni na kupie kamieni, które nieraz nie tyle trwarde, jak serca ludzkie?

— Jak to! — mówi ona — czyż my tego, co inni mają, nigdy mieć nie będziemy? Czyż to za wielkie żądanie mieć nieco ognia dla ogrzania i cokolwiek chleba na wieczerzę? Gorzko pomyśleć, że tyle ludzi wyleguje się w ciepłych łożach, a my jak ptaszęta bez puchu i gniazda, i drzymy od zimna.

Nagle zdawało im się, że umarli i są w raju, takie wspaniałe światło promieniało wokoło nich i tak świetną i aniołom podobna wydawała im się *ta*, która w złocistej szacie w ręku złocisty pierścień niosąc — zbliżała się do nich.

— Biedne malcy! — rzecze — niedola wasza porusza mię, pomogę wam. Byliście nędzniejszymi, niż najbiedniejsi nędzarze, staniecie się bogatszymi, niż najwięksi bogacze; będziecie mieli wkrótce tyle skarbów, iż nie znajdzie się w kraju dosyć skrzyń na ich pomieszczenie.

Słowa te usłyszawszy, zdawało im się, że śnią.

— Oh! piękna pani, jakżeżby się to stać mogło?

— Widzicie; jestem czarodziejką, która wszystko może. Od tej chwili, gdy które z was usta otworzy, wypadnie wam z nich dukat; a od was tylko zależeć będzie stać się bogaczami, przed którymi kłaniać się będą mocarze całego świata.

Powiedziawszy te słowa znikła czarnodziejka, a gdy dzieci stały w podziwie nad cudem z usty otwartemi, wypadały im cekiny, dukaty, dublony i tyle złotej monety, iż zdawało się, że deszcz złoty pada.

III.

Niezadługo przebiegła świat wieść o księciu i księżnej, którzy mieszkają w pałacu tak wielkim, jak miasto, a lśniącym jak niebo gwiaździste, bo mury pałacu marmurowe usiane były rubinami i ametystami. Lecz wspaniałość zewnętrzna nie równała się wcale z bogactwami wewnątrz. Nie byłoby końca w wyliczaniu cudnych sprzętów, złocistych posągów, zdobiących ściany, i żyrandolów z klejnotów iskrzących pod sklepieniami gmachu. Oczy bolały od blasku czarownego, a dziedzice tych bogactw wyprawiali uczty, którym nic równego nie było na ziemi. Około stołów zasiąść mogło tyle ludzi, iż zdawało się, że całe narody koło nich się pomieszczą — a zastawione były najsmaczniejszemi potrawami i winami najprzedniejszemi. Na złotych półmisach rozbierali krajczowie tłuste bażanty, a puchary rznięte z jednego klejnotu napełniali piwniczy lśniącem winem. Gdyby jaki nędzarz był się dostał do tych cudów, straciłby zmysły z podziwu i radości.

Można sobie wyobrazić, jak schodzili się goście do gospodarzy, którzy ich iście po królewsku podejmowali. A nie mało przyczyniało się do wesołości uczty, że książęciu i księżnej, gdy jedząc otwierali usta, wypadały złote pieniądze, które sługi zbierały i rozdawały między gości. Wieść o tych niezmiernych bogactwach przebiegła świat cały i doszła też do krainy czarodziejek; jedna z czarodziejek — ta, która zjawiła się w stodole w złocistej sukni — postanowiła odwiedzić swoich umiłowanych, aby się przekonać o ich szczęściu i przyjąć od nich podziękę.

Lecz gdy pod wieczór weszła do wspaniałej komnaty, w której książę i księżna przebywali, nie mile była zdziwiona, ponieważ zamiast radości, rzucili się jej książę i księżna do nóg rzewnie i boleśnie łkając.

— Cóż widzę? — rzecze czarodziejka — czy podobna? Nie zadowoleniście ze swego losu?

— Szlachetna pani, jesteśmy tak nieszczęśliwi, że umarlibyśmy z troski, gdybyś się nad nami nie zlitowała.

— Jak to! Czyż wydaje się wam, iż nie dosyć macie bogactw!

— Jesteśmy niestety bogaci aż nadto!

— Czyż może to was razi, że tylko złoty pieniądz z ust wam pada, może w to miejsce życzyliby ście sobie szafirów lub dyamentów wielkości jej gołębich?

— O nie! nie!...

— Powiedzcież mi więc, co was zasmuca, gdyż nie mogę odgadnąć.

— Potężna cudotwórczyni, miło jest ogrzać się, gdy zimno, w puchach spać, jeść, gdy głód dokucza, lecz jest rzecz piękniejsza *szczęście i zadowolenie!* Od czasu, gdy nas bogactwami obsypałaś, nie zaznaliśmy tego szczęścia, gdyż ile razy usta rozchylimy, by je w pocałunku spoić, wypadają nam obrzydłe cechiny lub dukaty i całujemy tylko zimne złoto!

— Ah! — rzecze czarodziejka — o tem nie pomyślałam, lecz przeciw temu nie ma rady i upominam was pogódźcie się ze swoim losem.

— Nigdy! Daj się wzruszyć! Cofnij dar, którym nas unieszczęśliwiasz!

— Dobrze! Lecz wiedzcie, że nietylko dar, który wam dostarcza złota, lecz także bogactwa i skarby was otaczające!

— I cóż nas to obchodzi!

— Niechaj się tak stanie! — rzecze czarodziejka — dziej się wola wasza!

Dotknęła ich pierścieniem, i znowu byli wśród mrozu trzaskającego w stodole, do której wiatr mroźny wpadał ze wszech stron; czem byli przedtem, tem znowu się stali: głodni, napół nadzy, drżący od zimna, jak małe ptaszęta bez puchu i gniazda. Lecz nie uskarżali się i czuli się szczęśliwymi, bo wróciła im dawna pogoda i szczerość. (Koniec).

Z podróży na Kaukaz.

(Dokończenie).

Nie mówię tu naturalnie o zamożnych dawnych rodach osiadłych w Tyflisie, lub w okolicy stolicy Gruzyi, jak np. o Czewczewadze i innych. Ci mają rozległe winnice i wspaniałe pałace. Skromne jednak pałacyki, o których poprzednio była mowa wśrod tych sakli i zwyczajnych lepian, tak zwanych aułów, przyczepionych do ścian górskich, odrębnym swym stylem i prostotą bardzo ładny tworzą obraz. Coraz cieplej i coraz więcej roślinności. Przy każdym zakręcie drogi widać domy, ogrody, winnice, pola, osłonione murami, drzewa owocowe ukryte w zagłębieniach, łąki zielone, źródła świeże; kobiety klęcząc piorą bieliznę, pochylone nad buchającym strumieniem lub nad małymi kanałami drewnianymi, które nawadniają i odświeżają skłony gór. Jak okiem sięgnąć, na dolinach i wzgórzach, wszędzie ślady pracy i pomysłowości ludzkiej. Góra faluje niekiedy, jakby stopniami olbrzymiemi, urządzonymi umyślnie do rozmaitej uprawy. Zadrzewione wąwozy coraz bardziej się rozszerzają, tworząc obszerne doliny. Roboty w polu, ruch znaczny na drodze, wołania furmanów: „habarda jéj!“ (na bok) ożywiają tę część drogi. Mięszaninów ludów na Kaukazie jest tak różnorodną, że opis plemion, mieszkających w sąsiedztwie Wojenno-Gruzińskiej drogi byłby niewątpliwie zajmującym. Pośpiech nie pozwolił mi w podróży zebrać odpowiednich danych pod tym względem; zresztą jest bardzo wiele francuskich i angielskich podręczników obznajmiających czytelników szczegółowo z ludoznawstwem i miejscoznawstwem Kaukazu.

Ze względu jednak na osobliwość trzech typowych plemion: Hewsurów, Tuszinów i Pszawór, zaludniających okolice wschodnie Passanauru i Anamuru, postaram się w krótkich zarysach dać czytelnikom o nich pojęcie. Odwaga jest znamienną cechą górskich mieszkańców, odznaczają się nią szczególnie jednak Hewsury i Tuszini. Naród to odważny, nie lękający się niczego, nie istnieje dla nich niebezpieczeństwo przed któremby się cofnęli, nie było położenia, któreby zachwiało ich odwagę. Ubierają się osobliwie: na całej odzieży z góry do dołu moc różnokolorowych łat w formie krzyża. W chwili napadu lub w razie obrony, bywają okryci zbroją od stóp do głowy, z pałaszem i dzirytem w ręku. A na dzirytach owych lub pałaszach napisy: „Vivat Stephan Batory“, „Vivat Husar“, albo „Souvenir“, „Genna“, „Solingen“ lub wyryte korony, rycerze itp. Ale niema też plemienia na całym Kaukazie, bardziej od nich nieporządnego, mniej miłującego czystość. Błoto i nieład w ich saklach, powietrze niemożliwe, obok ludzi sypiają zwierzęta. Pojęcia też rodzinne dziwaczne. Z chwilą, gdy np. kobieta zamężna ma zostać matką, u Hewsurow zamykają ją w oddzielnej sakli, uciekają od niej najbliżsi, nikomu dotknąć się jej nie wolno. Sama, bez żadnej pomocy męczy się nieraz ciężko; gdy krzyczy, lub jękiem zdradza cierpienie, zbierają się mężczyźni pod drzwiami jej z bronią w ręku, i na dany znak jednocześnie strzelają, mniemając, że strach złagodzi cierpienia nieszczęśliwej. Procedura zamążpójścia też oryginalna i nieskomplikowana. Często bardzo dziewczę zaraz po urodzeniu zostaje narzeczoną, a narzeczony, jako zadatek otrzymania słowa, posela rodzicom wybranej abaz (40 groszy). Kiedy skończy dziewczyna 20 lat, oblubieniec posela do jej domu zaufaną kobietę, jako powiernicę i dwóch mężczyzn z kilku bananami, podarunkiem dla rodziców panny. Ojciec z początku tej delegacyi drzwi pokazuje, lecz zabite w jego oczach barany i złożone u stóp jego w ofierze, miękczą udaną surowość i uzyskują pozwolenie na małżeństwo. O aprobatę i życzenie kobiety nikt się tu nie troszczy, nikt jej o to nie pyta. Po gościnnem przyjęciu posłów, pannę młodą prowadzą mężczyźni, wybrani po jednym z każdego domu wsi rodzinnej — do domu pana młodego, lecz zwyczaj chce, aby go nie zastała ta procesya, lecz dopiero po długich poszukiwaniach, odnalazła u jednego z krewnych. Sadzają wówczas młodą parę koło komina, zapalają ogień w ten sposób, aby dym szedł narzeczonym prosto w oczy. Przychodzi duanos (duchowny), stawia przed nimi napoje i jadło, daje do rąk woskowe świece, przekuwa igłą ich ubranie i pije piwo za zdrowie państwa młodych. Na tem się kończy obrzęd zaślubin, W ciągu pierwszych dwóch miodowych miesięcy. młode małżeństwo boczy się i nie rozmawia z sobą, następnie żona spędza dwa tygodnie u rodziców, a potem już nowożeńcy łączą się na zawsze i prowadzą życie według normalnego trybu.

Dojeżdżając do przedostatniej stacyi Muchity, widzieliśmy z dala towarowy pociąg, pędzacy z naftą z Baku do Batumu. Lokomotywa ciągnie ze 20 dużych bań żelaznych. Wśród gór tworzy to ładny obrazek. Po wyruszeniu z tej stacyi, już widok przedstawia znamiona postępu i cywilizacyi. Wśród gór miga pociąg, niżej równolegle rozkłada się bardzo ożywiona szosa, niżej jeszcze, lecz również w równoległej linii, płynie rzeka Kura, a w dali po za nami widać potężne, czarne chmury złowróżbne skały, co tak nie dawno mroziły nas swym chłodnym oddechem. Wkrótce dostrzegliśmy Tyflis, lecz niestety, tak mało podobny do owego Tyflisu mojej wyobraźni. Budowle europejskie, białe i szare, zanadto ścieśnione w kotlinie pomiędzy nagiemi skałami. Zdawało mi się, że ujrzę ogrody, zabytek wschodni, podcieniowany góralską, dziką prostotą, a tu ani zieloności nie widzę, ani okazałej architektury azyatyckiej, przynajmniej z tej strony, z której miasto przedstawiło się oczom moim po raz pierwszy.

Port w Oranie.

Naprzeciw wybrzeża hiszpańskiego leży w francuskiej posiadłości w Afryce w Algierze miasto Oran. Rozsiadło się ono nad morską zatoką, która regularnem półkolem wrzyna się w ląd. Klimat tu

przepyszny, przyroda urocza — to też miasto Oran rozwija się pomyślnie; miasto liczy przeszło 60,000 mieszkańców, ruch handlowy tu bardzo ożywiony, do czego przyczynia się port obszerny i wygodny. Aby dać pojęcie o ruchu tu panującym, przytaczamy, że w roku 1885 zawinęło tu w ciągu jednego roku 1400 wielkich okrętów handlowych. Francuzi poznali ważność tego punktu i obwarowali go znacznie. Oran zmieniał często właściciela. Od roku 1509—1792 był w posiadaniu Hiszpanii, potem zajęli go Turcy dopiero od r. 1831 przeszedł w ręce francuskie, którzy miasta tego nie prędko komukolwiek odstąpią.

ROZMAITOŚCI.

Wyjątki z listów.

„Radzca tak był wzruszony szlachetnością tego człowieka, iż ucałował go własnoręcznie.“

„Przytem mam zaszczyt oznajmić, iż napastuik uderzył mnie kłonicą w głowę, która miała ze trzy cale grubości.“

„A jeżeli on mówi, że wieprz należał do niego, to kłamie. Wieprza tego kupiłem, jeszcze będąc prosięciem.“

Nowy system wychowania.

W „Notatkach z podróży po Wielkopolsce opowiada pan S. w jednym z numerów w „Kraju“ następującą scenę z egzaminu dziesięcioletniego chłopca, syna mieszczanina z Leszna. — Rzecz dzieje się w wagonie: „Hör'mal Władek! — odezwał się pasażer do swego synka, stawiając go przed sobą do egzaminu — „sag' mir mal, wie heisst der grösste polnische Dichter?“ — „Adam Mickiewicz!“ — odpowiedział chłopiec. — „Und wer war Jan z Czarnolesia?“ — „Auch ein polnischer Dichter.“ — „Und wie hiess seine Lieblingstochter?“ — „Urszulka.“ — „A widzi pan, zakończył z miną tryumfatora mój współpodróżny.

Przezorna rada.

Chociaż życie ci dokuczy i los prawie z nóg cię zetnie, na zapytanie: „Jak ci idzie?“ — odpowiadaj zawsze: „Świetnie!“ — A tak mówiąc, jednocześnie dwojakiego dopniesz celu: nieżyczliwym przykrość sprawisz — radość wzbudzisz w przyjacielu.

Krótko a zwęzłowato.

Rzecz dzieje się u krawca. — „Chciałbym, abyś mi pan zrobił garnitur.“ — „Bardzo dobrze.“ — „Ale uprzedzam pana, że zapłacę dopiero za pół roku.“ — — „A kiedyż garnitur będzie gotowy?“ — „Za pół roku.“

— „Żyjesz, jak kot z pieskiem z twoim własnym mężem!“ — rzekła raz mateczka córeczce Anusi. Córka na to: „walczę z nim jego orężem, bo gdy piesek gryzie, kotek drapać musi.“

Pytanie.

Ten, kto kopie ziemię miewa łapska grube; spojrzyjcie na Maćka, albo i na Kubę — czemuż pewna pani białe ma rączęta, choć „kopaniem dołków“ ciągle jest zajęta?

Smutna prawda.

Pewien przyjaciel ludzkości, widząc błąkającego się chłopaka zatrzymał go i zapytał: „czemu się tak błąkasz tu po zaułkach bez zajęcia — czy nie mieszkasz z rodzicami?“ — Mam rodziców, ale rzadko ich widuję, bo kiedy ja jestem wolny, to moi starzy siedzą w „ulu“, a jak starzy są wolni, to ja siedzę w „ulu.“

Przed laty za sławnym linochodem Blondinem jeździł ślad w ślad excentryczny Anglik, który założył się o grubą sumę, że Blondin musi kark skręcić.

Od owego czasu upłynęło lat wiele, ale nauka w las nie poszła, wszędzie dziś bowiem jest mnóstwo takich, którzy krok w krok postępują za tańczącemi na linie blondynami. —

Zadziwiający pies.

W pewnem towarzystwie opowiadano o psach z góry św. Bernarda, które wyszukując po górach i zawiejach śnieżnych zabłąkanykh podróżnych, wielu uratowały od śmierci.

— „Święta prawda, święta prawda! — woła pan N. N. — zadziwiające zwierzęta! Ja sam miałem psa z góry św. Bernarda, który wybawił mnie z wielkiego kłopotu.“

— „Co, jak“ — zapytują obecni zaciekawieni — „jakże to było?“

— Oto krawiec pozwał mnie do sądu o 150 marek. Nie miałem czem zapłacić. Już, już miał komornik zabrać mi rzeczy, sprzedałem psa i za wzięte zań pieniądze zapłaciłem dług krawcowi.

Śpiewał Wojciech w lesie: dolaż moja dola! Mam aż cztery dziewki, każda woła: hola, tatuleńku męża sprowadźże mi przecie, bo samym dziewczętom smutno żyć na świecie.

Urządzałem chłopcom ofite obiady, dziewuchy stroiłem, dawałem podkurki, i cóż mi zostało z tej całej paradȳ? — A echo mu na to odpowiada: — „córki!“

ŁAMIGŁÓWKA.

Trzecia wstecz i wprost czwarta
W każdej książce jest zawarta.
Może wisieć też nad bramą.
Drugi czwarty nie jest mamą.
Trzeci smaczny do jedzenia,
Ale sprawia też cierpienia,
W garnku często się gotuje
I na niebie się znajduje.
Pierwsza nazwą jest litery,
A chorobą wszystkie cztery.

Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny (w zast.) Józef Szmyt w Poznaniu.